

Rozdział 1. Drapieżnik

Zwierzę wyczuło obecność. Obserwowało z ukrycia każdy ruch, gest, wskaźnik przesuwający się po planszy. Intensywnie kalkulowało – zaatakować czy zostać w kryjówce? W bezpiecznym miejscu za fotelem. Od pierwszych tygodni życia było drapieżcą i takim pozostanie aż do śmierci. Analiza odbywała się na poziomie instynktownym, a jej wynik zaowocował dynamiczną decyzją. Kot opuścił kryjówkę.

Kolejne kroki stawiał tak, by pozostać nieusłyszany i niezauważony, miał to w naturze, w genetyce swojego gatunku. Skradał się cicho, kroczył po krocisku. Ten obiekt nie był jednak idealnym, możliwym do uśmiercenia celem ataku. Zwierzę nie czuło mięsa. Widziało natomiast przesuwający się wskaźnik. Sunął po ekranie telewizora.

„...najintensywniejsze opady śniegu najbliższej nocy wystąpią w stanie Colorado i Utah...”

Kot przygotował się do skoku, przykucnął, napiął mięśnie, potupał w miejscu i wybił się na odległość kilkukrotnie większą, niż sam mierzył. Jego pazury trafiły na zimną powierzchnię ekranu, która tylko na moment drgnęła pod jego ciężarem. Wskaźnik, jakby świadom swojego przeznaczenia, natychmiast zmienił kierunek, umykając przed niewidzialnym napastnikiem. Kot zsunął się na podłogę, miękko lądując na łapach, jakby to było dokładnie to, co planował od początku. Podniósł głowę, czujnie nasłuchując, czy jego niepowodzenie nie zwróciło uwagi otoczenia.

Kot, niezrażony nieudaną próbą, znowu przykucnął gotów do kolejnego ataku. Jego oczy śledziły ruchomy cel, a uszy, delikatnie nastawione do przodu, wychwytywały każdy dźwięk. Po chwili, kiedy wskaźnik znowu zbliżył się do krawędzi ekranu, kot wykonał kolejny skok. Tym razem jego pazury zaczepiły się o ramę telewizora. Zwierzę usiłowało złapać równowagę, balansując na krawędzi urządzenia. Jego wąsy drżały, a ogon poruszał się gwałtownie, jakby chciał mu pomóc utrzymać stabilność. Po chwili jednak kot zrezygnował z tej niekomfortowej pozycji i z gracją zeskoczył na podłogę. Przycupnął obok fotela, nieco sfrustrowany, ale nie zniechęcony. Jego instynkt podpowiadał mu, że zabawa dopiero się zaczyna. Usiadł na tylnych łapach, zaczynając intensywnie myć swoje futro, jakby chciał w ten sposób uspokoić emocje i zredukować poziom adrenaliny.

Gdy skończył, ponownie skoncentrował się na ruchomym celu. Wskaźnik nie przestawał migotać nieświadomy zagrożenia, jakie na niego czyhało. Kot powoli, niemal niepostrzeżenie,

przysunął się bliżej ekranu. Był gotów na kolejną próbę, jego umysł kalkulował, jego ciało przygotowywało się do skoku. W tej chwili nie liczyło się nic więcej, tylko on i cel. Jego świat skurczył się do tej jednej chwili, do tego jednego zadania. Z niespotykaną precyzją kot wystrzelił naprzód. Tym razem wskaźnik nie miał szans. Pazury kocura zatrzymały się na powierzchni ekranu, a wskaźnik nagle przestał się poruszać. Kot zwyciężył, choć jego łup był nieuchwytny. Zadowolony, usiadł na tylnych łapach i zaczął mruczeć, spoglądając na ekran z triumfem w oczach. Urodził się drapieżką, a to, że jego ofiara była wirtualna, nie miało dla niego żadnego znaczenia. Wygrał swoją grę i to właśnie teraz było dla niego najważniejsze.

W tym samym czasie kilka kroków dalej jego pan rozmawiał przez telefon.

– Cześć. Dzwonię z wielką prośbą. Wypadł mi wyjazd, nagle, nie zdążyłem zorganizować opieki dla Smokey, ani poprosić cię wcześniej. Czy mogłabyś przez kilka dni... aha... naprawdę? Jesteś wielka, Jane. Jesteś wielka. Jest zapas jedzenia, wiesz gdzie. Tak. Tak. Dziękuję. Odwdzięczę się. Podrzucę klucz, gdy będę wychodził. Za dziesięć minut.

Mężczyzna spojrzał na kota. Smokey wpatrywał się w ekran telewizora, próbując złapać wskaźnik, którym prezenterka pogody pokazywała przesuwające się niżej. Nie może go teraz zabrać ze sobą. Nie teraz. Spojrzał jeszcze raz na zawartość rozłożonej na łóżku walizki, która mogłaby być jedynie bagażem podręcznym. Wiedział, że nie może wziąć ze sobą zbyt wielu rzeczy. Nie może być jak wielki, rzucający się w oczy, powolny tankowiec. Musi być jak motorówka. Lekki, zwrotny, niezależny. I przede wszystkim szybki. Zamknął torbę. Na ten moment nie miał długofalowego pomysłu, wymyślił jedynie, co zrobi przez kilka najbliższych dni. Zima była po jego stronie.

„...fatalna pogoda panuje w Górach Skalistych, a spodziewane jest jej dalsze pogorszenie. Z powodu nadchodzącego huraganowego wiatru, zawiei i zamieci śnieżnych trasy narciarskie są zamykane, warunki drogowe już teraz są bardzo trudne...”

Wszedł do kuchni i otworzył puszkę kocięj karmy. Nóż leżał wciąż na kuchennym stole. Poświęcił mu przelotne spojrzenie, sięgając do szuflady po łyżkę. Nałożył solidną porcję papki o smaku i – jak miał nadzieję – zawartości wołowiny z warzywami. Nigdy nie wiadomo, ile procent mięsa w tych karmach to faktycznie mięso, a nie przemielony papier toaletowy i inny szajs. Smokey najlepiej lubił surowe jedzenie. Wątróbkę, filet, serca. Ożywiał się na sam zapach surowizny. Fascynująca natura drapieżcy.

– Kici, kici.

– Miau!

Ich stała komunikacja. Bardziej było mu szkoda zostawić Smokey niż... myśleć o tym. Zabrał z kuchennego stołu nóż i włożył go między ubrania w walizce. Przez chwilę zastanawiał się jeszcze, co będzie potrzebne w górach. Bieliznę termiczną i ciepłe ubranie miał już na sobie, buty stały przy wejściu, a kombinezon narciarski zdążył wcześniej włożyć do samochodu. Gdzieś z tyłu głowy pulsowała myśl, dobijała się wręcz szaleńczo do ośrodków decyzyjnych, „krzycząc” wewnątrz jego głowy, że trzeba się spieszyć. Wyciszał tę auto-radę z pełną premedytacją. Nikt jeszcze nic nie wie. Pośpiech generuje błędy, rzuca się w oczy, obnaża ucieczkę.

„... jeśli nie musimy, nie wychodźmy z domu...”

Mężczyzna przerzucił torbę przez ramię, pogłaskał kota i wyszedł, zamykając za sobą drzwi na klucz. Przez chwilę stał przed wejściem, wsłuchując się w ciszę. Wszystko było na swoim miejscu, Smokey miał zapas jedzenia, a Jane zaopiekuje się nim przez kilka dni. Na zewnątrz również panowała cisza przerywana jedynie odgłosami wieczornego miasta. Zimny wiatr owiewał jego twarz, a śnieg zaczął padać mocniej. Mężczyzna zaciągnął kaptur głębiej na głowę i przyspieszył kroku, zmierzając w stronę swojego samochodu.

Parking był niemal pusty, co nieco go uspokoiło. Wsiadł do środka wozu, rzucił torbę na tylne siedzenie i odpalił silnik. Auto warknęło i zaczęło się rozgrzewać, a on spojrzał w lusterko wsteczne, jakby sprawdzając, czy ktoś go nie obserwuje. Zazwyczaj parkował w garażu, ale dopiero niedawno wrócił i wiedział, że znów będzie wyjeżdżał. Garażowanie mijało się więc z celem, niemniej niezadaszony parking spowodował, że znów musiał odśnieżać samochód. Zrobił to szybko i sprawnie, nie tracąc zbędnych minut. Z każdym ruchem czuł, jak adrenalina powoli przejmuje kontrolę nad jego ciałem. Przygotowuje na to, co może go czekać zarówno fizycznie, jak i psychicznie. Z powrotem wsiadł do środka, zapiął pasy i ruszył, mając przed sobą tylko jeden cel: przetrwać.

*

Granatowa Toyota Camry włączyła się do ruchu. Na przednią szybę prószył śnieg. Kierowca wpisał w GPS miejscowość turystyczną Park City. Trzydzieści dwie mile od Salt Lake City, w którym mieszkał. Czterdzieści minut jazdy, głównie autostradą międzystanową 80. Przy tych warunkach atmosferycznych w godzinę będzie w górach.

Każdy rdzenny Amerykanin wiedział, że najlepsze rejony na narty w USA to pas Gór Skalistych w Kolorado i Utah. Park City Ski Resort w Utah reklamował się szeregiem danych – największy teren narciarski w Stanach Zjednoczonych, siedemnaście stoków, trzysta tras, dwadzieścia dwie mile wyciągów, Zimowe Igrzyska Olimpijskie lokalizowane w Salt Lake City, a tak naprawdę odbywające się tutaj, trzydzieści mil dalej, w sercu gór. Mimo tego Park City wciąż nie pobił renomy i komercyjnego sukcesu Aspen w Kolorado, które przyciągało na narty całą amerykańską śmietankę. W Utah było mniej blichtru i przepychu. Kierowca toyoty uznał to za plus.

Postanowił, że wyruszy do schroniska, w którym kilka lat temu spędził noc. Pamiętał je dokładnie. Idealne miejsce przy takiej pogodzie, jaką dziś zapowiadali. Idealne, żeby odciąć się od wszystkiego. Ucieczka. To właśnie robi – ucieka. Przed kim? Przed życiem. Przed konsekwencjami. Przed sobą. Starał się nie przekraczać prędkości. Ślisko. Uznał więc, że szybka jazda jest po pierwsze niebezpieczna, a po drugie rzuca się w oczy. Nie chciał, żeby zatrzymał go pierwszy lepszy patrol drogówki.

Opady śniegu przybierały na sile. Wycieraczka pracowała intensywnie, jednak śnieg ma to do siebie, że utrudnia jazdę dużo bardziej niż deszcz. Kierowca widzi jedynie białe punkty rozbijające się o szybę. Wyjechał o siódmej trzydzieści wieczorem, było ciemno. Jazda przez zaśnieżoną autostradę wymagała pełnej koncentracji. Śnieg na jezdni tworzył niebezpieczne warstwy lodu, a ciemność nadchodzącej zimowej nocy potęgowała trudności. Toyota sunęła ostrożnie, jej reflektory przecinały gęstą zawieję, rzucając długie, migotliwe cienie na drogę przed sobą. Silnik pracował równomiernie, a ciepło z nawiewów stopniowo rozgrzewało wnętrze auta.

Kierowca co jakiś czas zerkał na ekran GPS, gdzie podświetlona linia wskazywała trasę do Park City. Mimo trudnych warunków i coraz większych opadów czuł, że jest na właściwej drodze. Świadomość, że opuszcza miasto i zbliża się do gór, dodawała mu pewności siebie.

Radio w samochodzie nadawało lokalne wiadomości, przerywane co jakiś czas ostrzeżeniami o pogarszających się warunkach na drogach. *„Wszystkie trasy narciarskie w okolicy Park City są zamknięte z powodu intensywnych opadów śniegu i silnego wiatru...”* – głos spikera brzmiał jak echo w prawie pustym wnętrzu auta. Był w nim tylko kierowca. Osamotniony jeździec na życiowym zakręcie. Mężczyzna przyciszył radio, chcąc skupić się tylko na jeździe. Miał nadzieję, że gdy dotrze do schroniska, znajdzie tam spokój i chwilę wytchnienia od własnego życia.

Dojechał bez większych przygód, co niezmiernie go ucieszyło. Zaparkował przy jednym z wyciągów. Biało. Pusto. Silny wiatr targał zaspami śniegu, które wirując, unosiły się w powietrzu. Rozejrzał się po szalejącej wokół zimie, naciągnął mocniej kaptur na głowę i podszedł do zabudowań.

– Halo, dobry wieczór!

Za szybką budki z napisem „KASA” pokazała się zdziwiona twarz. Niezbyt jasna żarówka oświeślała wnętrze. Mężczyzna około sześćdziesiątki z brodą oprószoną siwizną miał na sobie grubą puchową kurtkę i wełnianą czapkę. Jego policzki były zaczerwienione od mrozu.

– Dobry wieczór, nieczynne.

– Nieczynne? A to czemu kasa otwarta i pan tu jest? Jest napisane, że wyciąg czynny do dziewiątej wieczorem, stok jest oświetlony.

– Mam zmianę to jestem, rano wyciąg działał, ale widzi pan, co się dzieje. Są przepisy. Ze względu na bezpieczeństwo turystów kolej kabinowa jest zatrzymywana, gdy prędkość wiatru wzrośnie powyżej trzydziestu pięciu mil na godzinę, a wyciągi krzesełkowe, proszę pana, już przy dwudziestu pięciu.

– A teraz jest ile?

– Czterdzieści trzy, a prognozy zapowiadają powyżej osiemdziesięciu! To huraganowy wiatr. Zawieje i zamiecie, zerowa widoczność, czwarty stopień zagrożenia lawinowego. Niebezpiecznie na równinach, w górach, proszę pana, śmierć.

– Ile stopni ma skala?

– Pięć.

– A więc jeszcze nie jest najgorzej.

Obaj mężczyźni wymienili serdeczne uśmiechy, choć w oczach kasjera widać było cień niepokoju.

– Tak czy siak nie pojedzie pan wyciągiem na narty. Zresztą już jest prawie wpół do dziewiątej, w tej sytuacji pogodowej to byłoby szaleństwo. Proszę wrócić do domu.

– Nie chcę na narty, chcę do schroniska Rock Valley. To jest gdzieś na trasie, prawda?

Facet w kasie wydawał na coraz bardziej zaskoczony.

– Ale pan wie, co zapowiadają? Cyklon. Tej nocy nasypie tu tyle śniegu, że nikt jutro do Rock Valley nie dotrze! Pamięta pan cyklon Katrina w dwa tysiące piątym? Najbardziej morderczy huragan od dziesięcioleci. Setki zabitych! Prognozy sugerują...

Nie zdążył dokończyć, bo przybysz robił się coraz bardziej niecierpliwy.

– Panie, cyklon uderza z oceanu w wybrzeża. Nie jesteśmy w Luizjanie czy stanie Nowy Jork. To Utah, bez dostępu do otwartych wód.

– Chyba że zassie arktyczne powietrze w stały ląd, proszę pana. Góry rządzą się swoimi prawami. Wyciąg nie działa, nie pojedzie pan.

– Dobrze, w takim razie proszę mi życzyć szerokiej drogi. Tamtędy na szlak?

Na wpół oburzony i na wpół zaniepokojony facet w kasowym okienku potwierdził kiwnięciem głowy. Potem obserwował odchodzącego mężczyznę, dopóki jego sylwetka nie zniknęła za pierwszym zakrętem na leśnym szlaku. Przez chwilę zastanawiał się, co powinien zrobić w takiej sytuacji. Może wezwać jakieś służby? Co prawda Rock Valley było otwarte przez cały rok, ale wybranie się dziś samotnie w góry uznał za głupotę i nieodpowiedzialność. Za dużo akcji ratunkowych widział w swoim życiu zawodowym. Z drugiej strony tamten przybysz był dorosłym, trzeźwym mężczyzną i żadne prawo nie zabraniało mu pójścia w góry przy złej pogodzie. Mało to takich, co przed burzą idą? W końcu facet w kasie machnął ręką.

– Głupich nie sieją, sami się rodzą... – warknął pod nosem i zamknął okienko.

*

Jane siedziała na kanapie w mieszkaniu sąsiada i oglądała telewizję. Postanowiła pobyć trochę z jego kotem. W końcu serial może obejrzeć też tutaj. Przyniosła koc, chipsy i gorącą czekoladę. Za oknem przybywało białego puchu, co sprawiało, że w mieszkaniu było miło i przytulnie. Smokey właśnie skończył pałaszować smakołyki, tymczasem na ekranie spiker podawał kolejne wiadomości. Regionalny dziennik kończyła informacja o zabójstwie lekarza psychiatry w śródmieściu. Policja odmawiała szerszego komentarza na tym etapie śledztwa. Padły słowa „nożownik”, „za wcześniej by móc powiedzieć coś więcej”, a także „prowadzone są czynności operacyjne”. Jane ziewnęła znudzona. Smokey wdrapał się dziewczynie na kolana, mrucząc rozkosznie. W telewizji zaczęła się prognoza pogody. Jak nieustannie przez cały dzień, tak i teraz zapowiedziano intensywne opady śniegu.

Jane rozejrzała się po mieszkaniu. Czyste, schludne i zadbane. Jakby mieszkający tu mężczyzna nie spędzał w nim zbyt wiele czasu. Poniekąd tak było – Jane często opiekowała się Smokey pod nieobecność sąsiada, ponieważ ten miał dość intensywny tryb życia. Całkowicie poświęcał się pracy, kochał to, co robił. Nie przypuszczała jednak, żeby obowiązki wezwały go tuż przed Świętem Dziękczynienia. Może wybrał się do rodziny, ale czy wtedy zostawiłby kota? Jane nie umiała odpowiedzieć na to pytanie, wyczuwała jednak, że coś jest nie tak, samej nie do końca potrafiąc stwierdzić, co konkretnie. Może coś w jego głosie, gdy do niej zadzwonił. Może późna pora lub ta pogoda.

Przypomniła sobie ich ostatnią rozmowę. Był niespokojny, a jego głos brzmiał inaczej, jakby coś go trapiło. „Dzwonię z wielką prośbą” – powiedział wtedy. Prosił ją, aby zaopiekowała się Smokey na kilka dni. Nie wyjaśnił dlaczego. Teraz, siedząc na jego kanapie, zaczęła się zastanawiać, co mogło być powodem jego nagłego wyjazdu. Spojrzała na półki z książkami, głównie biografie, starannie poukładane z kilkoma osobistymi przedmiotami: zdjęcia rodzinne, pamiątki z podróży, nagrody. Zastanawiała się, co tak bardzo mogło go zaniepokoić. Zazwyczaj był świetnie zorganizowany i prosił o pomoc przy kocie z wyprzedzeniem.

Jane podeszła do okna, chcąc oderwać się na chwilę od swoich myśli. Wyjrzała na zewnątrz i natychmiast poczuła chłód przenikający przez szybę. Na zewnątrz szalała zamieć, śnieg wirujący w powietrzu tworzył białą ścianę, przez którą nie było widać ani jednego budynku, ani światła ulicznej latarni. Ulice Salt Lake City, zwykle tętniące życiem, teraz były puste i przytłoczone ciężarem śniegu. Wszystko było przykryte grubą warstwą puchu, a wiatr był przeraźliwie, jakby ostrzegając przed czymś nieznanym. Gałęzie drzew ugiwały się pod naporem śniegu, skrzypiąc złowieszczo. Krajobraz, choć piękny, miał w sobie coś upiornego. Jane poczuła dreszcz przebiegający wzdłuż kręgosłupa. Była całkowicie odcięta od świata zewnętrznego, a w mieszkaniu sąsiada panowała niepokojąca cisza, przerywana tylko odgłosami zamieci. W tej chwili czuła się bardziej osamotniona niż kiedykolwiek. Smokey, jakby wyczuwając jej niepokój, podniósł głowę i spojrzał na nią swoimi błyszczącymi oczami, dodając otuchy. Jednak niepokój nie opuszczał jej ani na chwilę.